

Edward Balcerzan

Wspomnienie o Januszu Sławińskim (15 marca 1934-1 listopada 2014)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 105/4, 245-246

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIE O JANUSZU SŁAWIŃSKIM (15 marca 1934 – 1 listopada 2014)

– A co ty sobie myślałeś? – oburzył się, gdy wyraziłem zdziwienie, że jest ode mnie starszy zaledwie o trzy i pół roku. Jego czas zawodowy, mierzony aktywnością w życiu polonistyki akademickiej i szkolnej, odczuwałem jako znacznie bogatszy i dlatego dłuższy od mojego. Pod koniec lat pięćdziesiątych drukował w „Twórczości” rozprawki o języku poetyckim, o wierszach Stanisława Młodożeńca, Tadeusza Peipera, Tadeusza Różewicza, Anny Świrszczyńskiej. Ja wtedy byłem studentem i czytelnikiem jego tekstów; podobało mi się zwłaszcza brawurowe porównanie poematu do biurokratycznej instytucji. W pierwszych latach pracy dydaktycznej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, przygotowując się do zajęć z poetyki, trudząc się nad dysertacją doktorską, korzystałem bodaj ze wszystkiego, co ogłaszał drukiem lub wygłaszał na konferencjach. Większość jego myśli celnie nazywała to, co mi się w obcowaniu z literaturą wydawało czy roilo. „Sławiński ma w mózgu diament”, mówił Julian Przyboś.

W moim czytaniu prac Janusza Sławińskiego zdarzały się reakcje polemiczne, do których czułem się upoważniony, więcej: zaproszony! Autor *Tekstów i tekstów* miał dar łączenia eleganckiej precyzji sądów z otwarciem na spór. Nie była to „retoryka bezradności”, którą słyszał w wierszach Różewicza, lecz umowa z odbiorcą: przekazuję ci własne obserwacje i konkluzje najjaśniej, jak potrafię, oczekując w zamian odpowiedzi – równie rzetelnej, równie osobistej. Na tym polegał jego strukturalizm, którego nigdy się nie wyrzekł. Gdy – zaniepokojony rejteradą uczonych, nawracających się lawinowo na nowe doktryny – wyznałem mu, jak bardzo raduje mnie jego (jak z *Przestania Pana Cogito*) wierność, zareagował we właściwy sobie sposób:

– A tyś co sobie myślał?

Negatywny stereotyp strukturalizmu nakazuje widzieć tę orientację jako pustynię, na której pracują bezosobowe generatory znaczeń, produkujące teorię oderwaną od emocji, nietolerancyjne wobec odmieńców, etycznie indyferentne, zagrażające suwerenności podmiotów. Ktokolwiek w poczynaniach Sławińskiego pragnąłby odnaleźć potwierdzenie choćby jednej z wymienionych tu cech, niech się pożegna z nadzieją.

Cenił XX-wieczne szkoły strukturalne, ale sam nie dążył do stworzenia szkoły. Inicjował r u c h. Ruch nieustanny papieru, listów, ksiąg, czasopism, redagowanych i współredagowanych przez niego (do końca życia) serii wydawniczych, periodyków literaturoznawczych oraz literackich. Ruch pojazdów zwożących ze wszystkich stron kraju, także z zagranicy, uczestników kolejnych konferencji teoretycznoliterackich (teoria była dla niego jedną z form uprawiania historii literatury). Ruch nowatorskich inicjatyw w sztuce słowa (jak zjawisko nazwane przez niego poezją lingwistyczną).

Ruch idei badawczych. Ruch wymiany myśli między pokoleniami znawców. Demon ruchu? Tak.

W połowie lat siedemdziesiątych zamierzaliśmy, on i ja, wystąpić z dwuosobowym manifestem. W końcu się to rozmyło, nasz strukturalizm „Tekstowy” faworyzował odrębności, nie nadawaliśmy się na nowe Towarzystwo Iksów. Zostały szkice, pomysły. Janusz tak pisał do mnie w liście z 3 lutego 1974:

Proponowałbym z góry porządek formalny naszego Dokumentu: cz. I – tezy przedmiotowe (tyczące dzieła, komunikacji lit., procesu hist. lit. etc.); cz. II – tezy metodologiczne (dyscyplina nasza jako poznanie, jako gra społeczna, jako „poezja” itp.); cz. III – „pouczenia moralne” dot. „podmiotów” uprawiających dyscyplinę).

Tezy przedmiotowe nie wymagają komentarza. Podobnie dyscyplina jako poznanie. Ale jako poezja? Chodziło o poetycki moment nieprzewidywalności, i o styl. „Mając do wyboru tekst merytorycznie poprawny, ale źle napisany, i tekst merytorycznie wątpliwy, ale napisany dobrze, wydrukujemy ten drugi”, upierał się Janusz. Idźmy dalej: gra społeczna naszej dyscypliny. Była w tych latach grą o przetrwanie swobód komunikacyjnych. Sławiński, *spiritus movens* „Tekstów”, broniąc w stanie wojennym suwerenności naszego dwumiesięcznika przed nadzorcami, operował takim oto argumentem:

„Teksty” są od początku przedsięwzięciem wyraźnie autorskim, związanym z określonym zespołem ludzi (tak jak dzieło z twórcą), i jeśli ktoś chce umieścić całkiem nowego człowieka na stanowisku naczelnego, tym samym chce zmienić po prostu dotychczasowe pismo. [list z 21 stycznia 1982]

Z „grą społeczną” w jego projekcie manifestu korespondują „pouczenia moralne”. Chodzi o mobilizację znawców różnych pokoleń do energicznej wymiany doświadczeń i myśli:

byłoby dobrze poświęcić jedno popołudnie na parogłos (ściślej: sześciogłos) młodych polonistów, z których każdy powiedziałby, co sądzi o historii literatury jako dyscyplinie – jej stanie obecnym i pożądanej przyszłości. Powinni to być ludzie młodzi, ale mądrzy i nieskłonni do bredzenia. Mogą mówić całkiem osobiście, krytycznie, bezceremonialnie, nie unikać nawet ekstrawagancji, jednakże ich wypowiedzi muszą być na poziomie i dawać podnetę do poważnej dyskusji. [list z 3 lutego 1985]

W zachwyceniu referował pomysł Jana Błońskiego, dotyczący numeru tematycznego „Tekstów”:

Metodologiczna wojna wszystkich ze wszystkimi: personalisci napadają na strukturalistów, ci na nich i na marksistów, marksisci na niesłusznych pod każdym względem etc. [list z 9 września 1976]

Szczodrze obdarowywał przyjaciół swymi pomysłami. „Napisz o tym, że...” Zawdzięczam mu plan ogólny wykładów z teorii literatury, które kazano mi nieoczekiwanie przygotować w czasie wakacji. Czekałem na szansę rewanżu. Wreszcie się nadarzała. Janusz nie był zadowolony z tytułu swego felietonu *Teksty, teksty*, który miał otwierać pierwszy numer dwumiesięcznika.

– Może – zaproponowałem – ciekawe byłoby sformułowanie „teksty i teksty”? jako nawiązanie do wyrażenia typu „są ludzie i ludzie, są kraje i kraje”...

Spodobało mu się. Powtórzył ten tytuł publikując swoją książkę. Coś i ja mu podarowałem. Jedną literę. Jedno „i”.

Edward Balcerzan